

# Stanisława Janicka

---

## Moje dzieciństwo w Korcu na Wołyniu

---

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 12, 317-326

---

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Stanisława Janicka**  
Gorzów

## Moje dzieciństwo w Korcu na Wołyniu

1930–1939

Małe miasteczko pięknie położone na wzgórzach, miejscami skalistych, nad rzeczką Korczyk, która latem była niewielka, zaś wiosną rozlewała i potrafiła być groźna. Na jednym ze wzgórz malownicze ruiny zamku. Tuż za miastem, od wschodu granica Państwa Polskiego i ZSSR, obszar strefy przygranicznej, stąd siedziba Korpusu Obrony Pogranicza (KOP-u).

Ludność miasteczka w przeważającej ilości Żydzi, potem Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, Tatarzy, Niemcy. Ukraińcy, z zasady rolnicy, mieszkali na obrzeżach miasta lub na wsiach.

Istniały tu co najmniej 3 świątynie prawosławne, jeden kościół katolicki i kilka synagog. Ilość świątyń była proporcjonalna do ilości mieszkańców danego wyznania. Jeden kościół katolicki (cudowny obraz św. Antoniego) w zupełności wystarczał dla tej liczby wiernych, którzy zamieszkiwali w miasteczku.

Były tu 4 szkoły podstawowe, w tym 2 z wykładowym językiem polskim dla dzieci polskich i ukraińskich, 2 żydowskie z tym że jedna miała język wykładowy jidysz druga język polski, a ponadto uczono tu języka hebrajskiego, jidysz i niemieckiego. Była to dobra szkoła z doborową kadrą nauczycielską. Szkoły z wykładowym językiem ukraińskim nie było.

Zaczęłam uczęszczać do szkoły w roku 1935. W mojej klasie było 45 uczniów, w tym 6 Polaków, reszta Ukraińcy. Szkoła podstawowa w centrum miasteczka miała przeważającą liczbę dzieci polskich. Dzieci ukraińskie uczyły się na osobnych lekcjach języka ukraińskiego i religii. Dzieci polskie nie mogły uczęszczać na lekcje języka ukraińskiego, a jeśli rodzice chcieli, aby dziecko uczyło się dodatkowego języka, wstydzono ich mówiąc „chyba nie jesteście Polakami?”. Moi starsi bracia mogli jeszcze uczęszczać na lekcje języka ukraińskiego, ja już nie. Zaczęto zabraniać w latach 1935, 1936. Nie pozwalano także dzieciom podczas przerw używać języka ukraińskiego. Jeśli dziecko polskie mówiło na przerwie po ukraińsku, wzywano rodziców do szkoły i ganiono za złe wychowanie dziecka.



*Zamek w Korcu (1946)*

Zdarzało się, że do szkoły przychodził policjant, kazał nauczycielowi zbierać pamiętniki od dzieci, które sprawdzał, czy nie ma tam wierszyków patriotycznych o Ukrainie. Jeśli się znalazły, rodziców wzywano na policję i były kłopoty.




*Zamek w Korcu (1976)*

Moi rodzice przed wojną prowadzili restaurację, a raczej gospodę na przedmieściu, gdzie przychodzili na posiłki wracający z jarmarku w mieście okoliczni rolnicy, przeważnie Ukraińcy. Po wypiciu alkoholu lubili śpiewać. Często w dni targowe przychodził i sadowił się w kącie tajniak, jak w czasach Szwejka i przysłuchiwał się, czy pieśni nie mają charakteru patriotycznego, czy nie ma w nich słów „jeszcze nie umarła Ukraina”. Jeśli coś takiego usłyszał, notował nazwiska gospodarzy i były kłopoty.

W naszym miasteczku nie było żadnego zespołu ludowego ukraińskiego. Wyżywali się w śpiewach cerkiewnych i podczas pracy w polu. Wokół miasteczka były plantacje buraków cukrowych, odstawianych jesienią do miejscowej cukrowni, podczas prac przy burakach można było posłuchać pięknych pieśni ukraińskich.

Istniała wówczas w okolicy banda złodziejasków Ukraińców, którzy działali również na terenie miasteczka. Oni to ukradli moim rodzicom suszącą się na strychu bieleznę. Rodzice zgłosili kradzież, sprawa znalazła się w sądzie. Oskarżony został przez policję ataman bandy, który przybył do sądu z adwokatem. Policjant zademonstrował prześcieradła znalezione u oskarżonego. Ojciec jednak nie stwierdził, że to jego rzeczy, lecz powiedział, że takie prześcieradła może kupić każdy w sklepie, nie ma więc pewności czy to jego, sprawa została umorzona, a ojciec mój zyskał przyjaciela w atamanie. Kiedy już podczas okupacji niemieckiej terroryzowały Polaków oddziały UPA, ojciec zmuszony był udać się na pobliską wieś po bochenek chleba na stypę po zmarłej mojej babci; idąc ścieżką wśród zbóż, spotkał się oko w oko z atamanem, myślał, że wybiła jego ostatnia godzina, ale pamiętliwy ataman uspokoił ojca, podał mu rękę i powiedział: niech pan idzie spokojnie, żaden z moich chłopców nie zrobi panu krzywdy.



Ważny od dnia 24 lutego 1935 r.

## DETALICZNY CENNIK

WYROBÓW

### PAŃSTWOWEGO MONOPOLU SPIRYTUSOWEGO

G A T U N E K	M o c	Cena za butelkę o pojemności				
		1 ltr.	0,75 ltr.	0,5 ltr.	0,25 ltr.	0,10 ltr.
		z ł o t y c h				
Wódka czysta . . . . .	35°	3.00	—	1.55	0.85	0.35
Wódka " . . . . .	40°	3.70	—	1.90	1.00	0.40
Wódka " . . . . .	45°	4.10	—	2.10	1.10	0.50
Wódka " . . . . .	55°	5.00	—	2.55	1.35	—
Wódka wyborowa . . . . .	40°	4.40	—	2.25	1.15	—
Wódka wyborowa . . . . .	45°	4.90	3.75	2.50	1.30	—
Wódka luksusowa . . . . .	45°	6.00	4.50	3.00	—	—
Spirytus czysty . . . . .	90°	8.50	—	4.30	—	0.90
Spirytus czysty . . . . .	95°	9.00	—	4.55	2.35	1.05

**Ceny łącznie z butelką.**

Koncesjonowani sprzedawcy detaliści obowiązani są:

- 1) posiadać na składach wyroby monopolowe (trunki) wszystkich pojemności i mocy w ilościach najzupełniej wystarczających do zaspokojenia miejscowych potrzeb; nie dotyczy to tych rodzajów wyrobów monopolowych, których sprzedaż została wstrzymana przez Państwowy Monopol Spirytusowy;
- 2) sprzedawać spirytus i czyste wódki monopolowe tylko w opakowaniach i naczyniach, dostarczonych przez Państwowy Monopol Spirytusowy i po cenach ustalonych w niniejszym cenniku.

W razie nieposiadania na składzie, względnie odmowy sprzedaży wyrobów monopolowych lub żądania cen wyższych niż ogłoszone, należy się zwracać do miejscowego urzędnika kontroli skarbowej, względnie polejci, celem protokularnego stwierdzenia tego wypadku i pociągnięcia winnego do odpowiedzialności karno-skarbowej.

**DYREKCJA PAŃSTWOWEGO MONOPOLU SPIRYTUSOWEGO**

428. Druk. Rolnicza, Złota 21

*Cennik na alkohol ze sklepu w Korcu*

Do roku 1939 sąsiedzi Polacy i Ukraińcy żyli ze sobą zgodnie. Istniały wsie polskie, majątki polskich osadników, które mogły spokojnie funkcjonować. Zjawiskiem częstym były małżeństwa mieszane, ślub zawierano w kościele katolickim lub prawosławnym, a dzieci chrzczono zgodnie z przyjętym zwyczajem, tj. chłopców zgodnie z wyznaniem ojca, dziewczynki – matki.

W naszej szkole przed rozpoczęciem nauki wszystkie dzieci zbierały się na boisku szkolnym, ustawiały się kolejno klasami i odmawiano modlitwę „Ojciec nasz” najpierw, w języku polskim, potem w ukraińskim, a na zakończenie wspólnie śpiewano „Pod Twą obronę”.

Choć na wsiach istniały elementarne szkoły podstawowe, to jednak zjawiskiem powszechnym był analfabetyzm.

Kościół prawosławny miał swobodę działania. W latach przedwojennych często odbywały się procesje ulicami miasta. Proszono Boga o deszcz lub jego zaprzestanie śpie-

wając pieśni religijne. Zdarzały się wizyty dostojników kościoła prawosławnego, na które zbiegało się całe miasteczko, podobnie jak na odpusty w kościele katolickim. Nasza parafia miała patrona świętego Antoniego, którego figura stała na wzgórzu przed kościołem. Tego świętego uznawali wszyscy mieszkańcy miasteczka, również prawosławni. W dniu odpustu swoje stragany rozstawiali wszyscy lokalni kupcy bez względu na narodowość i wyznanie.

Dopiero tuż przed wojną powstała akcja nawracania ludności prawosławnej na katolicyzm, a co za tym idzie – zaczęły powstawać antagonizmy. Nasuwa się myśl że komuś zależało na ich wywołaniu. Chodziły po wsiach pobożne panie Polki, starając się przekonać rolnika Ukraińca, że katolicyzm jest lepszym wyznaniem niż prawosławie. Gniewało to ludność ukraińską, która nie rozumiała różnicy tych wyznań poza różnicami językowymi, w jednym była łacina, w drugim starocerkiewny słowiański. Efekt tego nawracania w zasadzie był żaden, jedynie w miasteczku kilka rodzin inteligenckich zmieniło wyznanie, ale byli to Rosjanie. Po wojnie jako Polacy wyjechali oni na Ziemię Odzyskane. Wtedy tam na wschodzie katolik znaczyło tyle co Polak. Układy te uległy całkowitej zmianie po wkroczeniu na te tereny Armii Czerwonej.

### 1939–1941

Na wieść o wkroczeniu na tereny Polski zachodniej wojsk niemieckich i rozpoczęciu działań wojennych władze lokalne nieświadome zagrożenia ze wschodu, podczas gdy wojsko z KOP-u udało się w kierunku zachodniej granicy Polski, postawiły profilaktycznie na moście straż, którą pełnili członkowie organizacji młodzieżowej o nazwie Związek Strzelcecki. Dostali oni broń palną i czuwali całe noce. Gdy do miasta wkroczyły wojska radzieckie, jeden ze strzelców wystrzelił, wtedy ze strony najeźdźcy odpowiedziano ogniem i młodziak zginął. Był to jedyny obrońca i jedna ofiara agresji w naszym miasteczku. Rozeszła się wieść, że Związek Radziecki idzie na pomoc zagrożonej Polsce.

Wojsko radzieckie wyglądało żałośnie. W pierwszym rzędzie rzuciło się na piekarnie, gdzie rozchwytało szczególnie białe bułki, upychając je za pazuchę i jadąc dalej ku naszemu przedmieściu zjadali je łapczywie tak, że gdy ciężarówka z wojskiem zbliżała się do naszego przedmieścia, a było z górki, widzieliśmy migające białe przedmioty w rękach żołnierzy i nie wiedzieliśmy, co to może być.

Wojsko przyjechało ciężarówkami na gaz drzewny, a także niesamowicie zgrzytającymi traktorami ciągnącymi przyczepy z wojskiem. Na przyczepach siedzieli żołnierze wymizerowani, brudni, głodni. W porównaniu z wojskiem polskim widok ich szokował.

Wszystkie sklepy funkcjonowały nadal, dopóki miały towar. Pieniądze przeliczono 1 zł = 1 rubel. Taki kurs był bardzo korzystny dla Sowietów. Wkrótce wykupili wszystko nie mogąc się nadziwić, że można kupować bez ograniczenia ilości. Oficer radziecki przy mnie zapytał sprzedawcę, ile może kupić cukierków, a gdy usłyszał, że tyle ile chce, kupił kilogram i odszedł rozpromieniony. W tej sytuacji za kilka tygodni było po towarze. Po chleb trzeba było stać całą noc w kolejce, a o bułkach nie można było nawet marzyć.

Rosyjscy żołnierze kpili sami ze siebie. Po co mieliście tyle sklepów? U nas jest jeden wielki sklep, a w nim wystarcza jedna ekspedientka, która na pytanie o towar odpowiada „nie ma” i spokój. Jeden sklep wystarczy.

Wasze kobiety, mówili przybysze, były nieszczęśliwe. Mogły mieć wszystko, a to nie daje radości. U nas, gdy kobieta dostała chleb dla dzieci, była szczęśliwa; a jeśli jeszcze

czasem udało jej się dostać bułkę, leciała do domu jak na skrzydłach, wołała dzieci oznajmiając, że udało jej się dostać dla nich bułeczkę.

Wkrótce zorganizowano szkoły. Jedną z nich była szkoła polska. Wprawdzie budynek był skromniejszy niż przed wojną, ale i dzieci było znacznie mniej, uczęszczały tu tylko dzieci polskie. Językiem wykładowym był język polski, ponadto uczono rosyjskiego, ukraińskiego i niemieckiego. Mieliśmy doskonałych nauczycieli, Żydów po wyższych studiach, byłych mieszkańców Warszawy, którzy uciekli przed Niemcami. Nie znali języka rosyjskiego, a tym bardziej ukraińskiego, mogli więc pracować jedynie w polskiej szkole. Do dziś pamiętam naszego wychowawcę Weinberga, który uczył nas przedmiotów ścisłych. Był prawdopodobnie po politechnice. Już nigdy nie spotkałam tak doskonałego nauczyciela, oddanego całym sercem młodzieży.

W rocznicę „Wielkiego Października” postawiono na rynku trybunę, młodzież szkolna maszerowała przed nią, wznosząc okrzyki na cześć Stalina i ZSRR; nasza szkoła szła na końcu, na wezwanie z trybuny „Niech żyje Stalin” dzieci milczały, wtedy wystąpił obecny na trybunie tutejszy Żyd i zawołał „Niech żyją polskie dzieci”, odzew był natychmiastowy. Cudem nikt nie poniósł konsekwencji tego zdarzenia.

Wkrótce powstał obóz polskich jeńców wojennych. Wybudowali oni drugi most i drogę, a po zakończeniu prac, jak się potem okazało, oficerowie zostali wywiezieni do Katynia.

Stopniowo ubywało zapasów i towaru w sklepach, trzeba było się ratować pracą u rolników przy kopaniu ziemniaków, buraków i ścinaniu kapusty. Zbliżała się zima i głód zaglądał w oczy. Rodzice do 1940 r. prowadzili jeszcze jadalnię, w której można było dostać jedynie gorące mleko, jakieś pieczywo wypiekane przez mamę i bardzo skromne przekąski. Kiedyś przyszli na posiłek sowieccy oficerowie wyższej rangi, wśród nich jeden bez dystynkcji, starszy wiekiem; wyglądało tak, że pozostali byli jego ochroną. Zaprosił on ojca do stołu, częstując rosyjską wódką. Ojciec zorientował się, że ma przed sobą człowieka kompetentnego, poprosił go o radę, czy może w nowym ustroju prowadzić dalej swoją gospodę. Oficer mu odpowiedział: „widzę, że jesteście dobrym człowiekiem, więc wam powiem. Kończy się za kilka dni rok 1939, macie mało czasu, ale pośpieszcie się i zamknijcie ten interes jeszcze w tym roku, bo jeśli wkroczycie z nim w następny rok, dostaniecie podatek taki, że was dobije. W naszym ustroju nie ma miejsca na inicjatywę prywatną”. Ojciec tak zrobił i odtąd stał się dniówkowym robotnikiem rolnym.

Jeden ze znajomych rolników Ukrainiec mieszkający w pobliżu miasta dał rodzicom pół hektara ziemi, którą na jesień przeorał, dał wiosną nasiona i sadzonki i dzięki niemu mieliśmy swoje warzywa i len na olej. Rodzice odwdzięczali mu się, pomagając przy żniwach i wykopkach. W tym czasie gdy rodzice pracowali, ja dostawałam rower gospodarza i mogłam sobie pojeździć. Inni znajomi Ukraińcy również zapraszali rodziców do siebie, a na odchodnym obdarzali, czym mogli, mąką, kaszą, sztuką drobiu. Niektórzy zapraszali do siebie na jagody, grzyby, gościli w swoich paradnych izbach. W każdym ukraińskim domu była izba zawsze wysprzątana, ozdobiona ikonami i wyszywanymi ręcznikami, gdzie odbywały się tylko uroczystości rodzinne i zaproszani byli szczególnie goście.

Z czasem było coraz gorzej z żywnością. Wieś jeszcze nie głodowała, jeszcze nie zakładano kołchozów, jedynie gnębiono podatkami w naturze. Aby jakoś uzyskać trochę żywności, wymieniano wszystko, co miało jakąś wartość w domu. Tak poszły firany, portiere, część odzieży i wreszcie złoto mamy, a to za woreczek fasoli, a to kaszy.

Wkrótce rozpoczęła się wywózka Polaków na Sybir. Wywieziono również grupę Ukraińców, którzy liczyli na niepodległą Ukrainę i zabierali oficjalnie głos w tej sprawie. Wszyscy zostali wywiezieni. Na Sybir pojechały rodziny urzędników państwowych, leśników, a nawet gajowych (mieli prawo posiadania broni). Wywieziony został jeden Żyd, dyrektor szkoły, gdzie językiem wykładowym był polski. Część Polaków uniknęła wywózki. Pozostawiono w spokoju rodziny robotników, rzemieślników i rolników posiadających niewielkie gospodarstwa rolne.

Do władz administracyjnych dostali się miejscowi Żydzi i Ukraińcy, oni typowali Polaków do wywózki. Moja rodzina ocalała dzięki przyjaciom Żydom. Na wsiach był spokój. Polacy i Ukraińcy żyli jeszcze w zgodzie, można było swobodnie poruszać się po całym powiecie.

Zbliżał się rok 1941 a z nim kolejne zmiany polityczne.

### 1941–1945

Gdy zbliżali się Niemcy, sowieci uciekali w popłochu, dokonując pośpiesznych egzekucji tych, których uznano za wrogów. Dwoje starszych ludzi, Polaków, właścicieli dużych domów, w których mieściły się władze sowieckie, poszło do urzędu miejskiego po klucze do swoich domów opuszczonych już przez pracowników. Zaprowadzono ich na żydowski cmentarz i rozstrzelano.

Miejscowa ludność ukraińska powitała wkroczenie wojsk niemieckich biciem w dzwony cerkiewne i zawołaniem „Chrystus Pan zmartwychwstał”. Byli przekonani, że powstanie niepodległa Ukraina. Rzeczywiście, powstała policja ukraińska i instytucje administracyjne obsługiwane przez Ukraińców, szkoły podstawowe tylko dla ukraińskich dzieci.

Znajoma Ukrainka mówiła do stacjonującego w jej domu oficera niemieckiego, który prawdopodobnie nic nie rozumiał: „Dajcie nam niepodległą Ukrainę. Żydzi i Polacy mieli już swoje państwo, a my nigdy. Nam się słusznie należy”. Rozrzucano ulotki, w których oznajmiano, że Żydzi i Polacy mogą chodzić tylko do godz. 18.

Wkrótce Żydzi zostali zapędzeni do getta jedynie z tobołkami, po ich wyjściu pozostawione mienie rozgrabili sąsiedzi. Z getta systematycznie wyprowadzano ludzi czwórkami 5 km za miasto pod las, gdzie ich rozstrzeliwano. Niektórzy młodzi Żydzi uciekali do ZSRR i tam przeżyli wojnę. Zdarzało się, że Polacy wtedy jeszcze mieszkający na wsiach przyjmowali na przechowanie Żydów, ale sąsiedzi donosili Niemcom i wtedy rozstrzeliwali razem wszystkich, których zastali w domu: Żydów i Polaków. Gdy nacjonaliści ukraińscy rozpoczęli rzezie Polaków w okolicznych wsiach, ci uciekali do miasta, zostawiając całe swoje mienie i inwentarz i tu zamieszkiwali w domach opuszczonych przez Żydów. My z przedmieścia na noc uciekaliśmy do miasta, żeby przeżyć noc. Tu stacjonowały oddziały wojsk niemieckich i były patrole wojskowe. Gdy słyszeliśmy w nocy stukot podkutych butów niemieckich wachmannów, mogliśmy spać spokojnie. W nocy widzieliśmy łuny palących się domów polskich na przedmieściu, a rano dowiadaliśmy się, kogo znowu Ukraińcy zamordowali.

Powszechnym zjawiskiem wówczas były masowe wyjazdy Polaków ze wsi, furmankami, na których były jedynie tobołki z odzieżą i żywnością na drogę, zgłaszających się się dobrowolnie na wyjazd do Niemiec na roboty. Nie było tu przymusu, lecz nadzieja na ocalenie życia.

Gdy w miasteczku trzeba było pochować Polaka na cmentarzu położonym za miastem wynajmowano oddział własowców, którzy tu stacjonowali. Oni otaczali kondukt z

bronią gotową do strzału i ochraniali ludzi. Dostawali za to uzgodnioną ilość bimbrowa za fatygę.

Słyszałam, że ludności ukraińskiej wmawiano, jakoby rzeź Polaków dzieje się w imię boże. Opowiadano, że przekazywano ze wsi do wsi noże zapieczone w chlebie, czyniąc na nim znak krzyża, a po ich zakrwawieniu ocierano je o ręczniki zawieszane na przydrożnych krzyżach.

Jeśli rodzina była mieszana, zabijano żonę i dzieci. Widziałam taki pogrzeb Polki, nauczycielki wiejskiej i jej dwoga dzieci, których na katolicki cmentarz przywieźli zrozpaczeni dziadkowie Ukraińcy.

Mówiono u nas, że jeśli ktoś z młodych mężczyzn nie chciał iść do UPA, pytano go o przyczynę, jeśli zabraniali mu rodzice, musiał ich osobiście zamordować. Praktycznie młodzi ludzie nie mieli wyboru, albo poddaje się nakazom nacjonalistycznej władzy, albo sam ginie.

Niemieckie władze nie interweniowały w to, co się działo. Nikt nacjonalistom ukraińskim nie przeszkadzał. Nie mogli tylko wkroczyć na teren miasteczka, gdzie stacjonowały oddziały wermachtu, a Polacy tylko przy nich mogli się schronić.

Wymordowano całe rodziny polskie zamieszkałe na wsiach wokół miasteczka. Zdarzało się, że ktoś, kto już mieszkał w mieście i chciał jeszcze dotrzeć do własnego domu na wsi, żeby zebrać coś z ogrodu lub pola, w mieście brakowało bowiem żywności, już nie wracał, dopadli go tam i zamordowali.

Nacjoniści zabraniali rolnikom Ukraińcom dostarczać żywność do miasta Polakom. Przyjaciele rodziców dostarczali nam jednak mąkę, kaszę i inne produkty nocą przez okno. Niestety jeden z nich został dotkliwie pobity przez swych kolegów, bo ktoś im o tym doniósł. Niezależnie od tego człowiek ten pomagał nam, jak tylko mógł. Jeszcze w czasach sowieckich zapraszał rodziców na żniwa i starał się pomóc, czym mógł. Przed naszym wyjazdem na ziemie zachodnie mówił ojcu, że gdyby czasem nadarzyła się okazja wyjazdu do Polski, bardzo chciałby stąd wyjechać, chętnie wolałby być furmanem w Polsce niż tu właścicielem wzorowego gospodarstwa, które w końcu i tak sowieci zarekwirują do kołchozu. Po latach dowiedzieliśmy się, że został wywieziony z rodziną na Sybir i tam zmarł. Wrócili i do dziś mieszkają w miasteczku jego dzieci i wnuki.

Nie było chleba. Chodziłam do sąsiadki bezzębnej Rosjanki, która otrzymywała chleb od wieśniaków Ukraińców, ale nie mogła pogryźć skórek, więc mi je pozostawiała, a ja biegałam do niej raz w tygodniu po te skórki, bardzo się cieszyłam. Mieliliśmy tylko do jedzenia cebulę i przymarzniete ziemniaki z kopca przygotowanego dla niemieckich żołnierzy. Kiedy stwierdzono, że przymarzły, mogliśmy je od Niemców kupić. Tak więc mieliśmy ucztę nie lada, jedliśmy je bez odrobiny tłuszczu, z przypieczoną na suchej patelni cebulą. Matka mojej koleżanki smażyła na rycynie placki kartoflane.

Wywożono na roboty przymusowe do Niemiec młodzież polską i ukraińską. Mój ojciec zaprosił do swego mieszkania komendanta ukraińskiej policji i prosił, żeby moich braci nie wywożono do Niemiec. Komendant obiecał, że ich nie zabiorą, a na odchodnym powiedział: „Gdyby mój ojciec dowiedział się, że uczyniłem panu krzywdę, nie wpuściłby mnie do domu. Pana chłopcy pracują w cukrowni, a więc już pracują na rzecz Niemiec i niech dalej pracują”.

Tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej powstała wśród Polaków organizacja mająca na celu samoobronę przed ukraińskimi nacjonalistami. Chodziło o to, żeby się bronić w momencie, gdy odstąpią Niemcy, a nie wkroczą jeszcze Rosjanie. Niestety był to prawdopodobnie jakiś podstęp. Nierozważni ludzie sporządzili spis osób, które wyra-



ziły chęć należenia do tego ugrupowania. Nie posiadali żadnej broni i nie wiadomo, jak sobie wyobrażali ją zdobyć. Spis zawierał kwiat młodzieży męskiej i jedną dziewczynę. Wpadł on w ręce policji, wszystkich aresztowano, wywieziono do Równego do więzienia i skazano na śmierć. Ci ludzie jedynie zawinili tym, że figurowali na liście. Jedna z matek zrozpaczona chwyciła się ostatniej deski ratunku. Ubiła świnie i połowę jej zawinęła w worek i zawiozła wachmanowi więziennemu. Wszystko to działo się tuż przed wkroczeniem sowietów. Okazało się, że połówka świni uratowała życie synowi tej kobiety. Reszta została rozstrzelana. Syna tej pani wachmann wypuścił natychmiast.

W styczniu 1944 wkroczyła na nasze tereny Armia Czerwona, tym razem witana bardzo radośnie przez Polaków. Nareszcie można było spokojnie spać we własnym kącie. Banderowcami zajęto się natychmiast i tych, których udało się złapać popędzono piechotą do stacji kolejowej odległej o 60 km i stamtąd na Sybir. Nasi dobroczyńcy, którzy pomogli nam przetrwać ciężkie czasy, zostali też wywiezieni i tam zmarli. Często ich z uczuciem wspominam.

Pamiętam, jak przed naszym wyjazdem na tereny ziem zachodnich przysły do nas dwie ukraińskie kobiety, które prosiły, żebyśmy nie wyjeżdżali, bo one słyszały, że nas dowiozą tylko do Bugu i tam wysypią z wagonów do rzeki i potopią. Bardzo nas żałowały i prosiły; nie jedzcie, zostańcie z nami.

W końcu kwietnia 1945 r. Polacy bez przymusu wywiezieni zostali furmankami do Nowogrodu Wołyńskiego na dworzec kolejowy i tam przez 2 tygodnie czekaliśmy na wagony i dalszą drogę do Polski. Jechaliśmy cały tydzień, ale jeszcze w krytych wagonach, po kilka rodzin w wagonie. W Lublinie dostaliśmy unrowską zupę z różnych artykułów. Był w niej makaron i kasza, i warzywa, ale smakowała bardzo. Ludzie spotykani po drodze podczas postoju pociągu witali nas serdecznie i udzielali rad. Tak było do Poznania. Tu niestety stosunek ludności do naszego transportu bardzo się zmienił. Po pierwsze przemieszczono nas z wagonów krytych do wagonów bez dachów. Na dworcu w Poznaniu przychodzili do nas gapie i wołali do siebie: „Chodźcie, zobaczcie, mongoły przyjechały zza Buga. Co to za rasa. Dokąd tu jedzicie, gdzie się człowiek urodził, tam powinien umrzeć, czego tu szukacie”. Gdy wreszcie pociąg nasz wyruszył, pomachałam idącym dzieciom, dzieci nam odpowiedziały machając rączkami, ale idąca obok matka nakrzyczała na nie i przytrzymywała rączkę dziecka.

Gdy pociąg nasz przekroczył byłą granicę polsko-niemiecką, oczom naszym przedstawił się okropny widok. Domy stały z powybijanymi oknami, drzwi pootwierane, porozrzucone zniszczone różne przedmioty, podarte pierzyny, dokoła fruwało pierze, był to dla nas szok. Wiele osób się popłakało. Przypomniano sobie własne przeżycia i było nam tych ludzi żal.

Gdy już przybyliśmy na Ziemię Odzyskaną i zamieszkaliśmy tu (w Wałczu) wśród innych Polaków z poznańskiego, wileńszczyzny i innych stron kraju, zostaliśmy ochrzczeni Ukraińcami. Mówiono, iż poznają nas po tym, że często gotujemy pierogi.

Swoją drogą coś z Ukraińców w nas zostało, bo ich piękne pieśni, które przywieźliśmy ze sobą, do dziś śpiewamy na uroczystościach rodzinnych. Z sentymentem wspominam te czasy, kiedy żyliśmy w przyjaźni, ale były to czasy, kiedy patrzyłam na świat oczami dziecka.

Po przyjeździe na nowe miejsce zamieszkania zastaliśmy miasto opustoszone, ludzi mało, domy puste. Niemcy, którzy jeszcze pozostali, znaleźli się w getcie w dzielnicy odległej od centrum miasta. Mogliśmy wybierać sobie mieszkania. Zastaliśmy je rozszabrowane, a było to około 15 maja, a więc kilka dni po zakończeniu wojny. Kolej

146

M.

**KARTA EWAKUACYJNA**  
Евакуаційний лист 12045

Główny Pełnomocnik  
Головний Уповноважений  
Тимчасового Рządu Narodowego  
Тимчасового Національного Уряду  
Rzeczypospolitej Polskiej  
Польської Республіки  
2 marca 1945

Wydano obywatelowi Janicki Stanisław Feliksowi u. 1886 r.  
Дано громадянину Janicki Stanisław Feliksowi u. 1886 r.  
mieszkałowi wsi (miasta) Korzec m. Wołyński obwodu  
жителю села (міста) Korzec m. Wołyński об'єдну

jak o dowód, że za pozwoleniem Głównego Pełnomocnika Тимчасового Рządu Наро-  
в тому, що він за дозволом Головного Уповноваженого Тимчасового Національ-  
дowego dla ewakuacji z terytorium Ukraińskiej SRR  
ного Уряду Польської Республіки по евакуації з території Української РСР.  
ewakuje się do Kamiasz powiatu  
евакується до Kamiasz волості  
województwa  
воєводства Польщі

Wraz z nim ewakuje się następujących członków jego rodziny:  
З ним евакууються такі члени його сім'ї:

Nazwisko, imię, imię ojca Прізвище, ім'я та по батькові	Stwierk do głowy rodziny Відомство за голова сім'ї	Miejsce i rok urodz. Місце і рік народж.	Uwagi Примітка
<u>Janicka Helena Feliksa</u>	<u>żona</u>	<u>1903</u>	<u>p</u>
<u>Janicki Edward Stanisław</u>	<u>syn</u>	<u>1923</u>	
<u>Janicka Stanisława Feliksa</u>	<u>żona</u>	<u>1908</u>	

Obywatel Janicki Stanisław Feliksowi  
Громадянин

przewozi z sobą koni niema rozcałany niema wiec niema  
з собою niema niema niema niema niema  
kóz niema inwentarza: plugów niema siewników niema niwiarok niema  
кіз niema інвентаря: плугів niema сівалок niema збіральних машин

produktów żywnościowych 6 ctn. z tym ziarna i produktów zbożowych  
продуктів харчових 6 цтн. з них зерна і зернопродуктів  
niema ctn. przedmiotów użytku domowego 6  
предметів домашнього вжитку

UWAGA: Ewakuowanymi z terytorium SRR do Polski, nie wolno jeść p. kawieczek  
wzór 9 przewidzianym w punkcie 42 siódmego rozdziału Instrukcji.

PRIMETKA: Ewakuowanymi z terytorii UR w Pol. szu, posiadzenia ф. 9 передба-  
чене пунктом 42 сьомого роздлу інструкції не вид

Rejonowy Pełnomocnik  
Районний Уповноважений  
W. B. B.  
po

Rejonowy Przedstawiciel  
Районний Представник  
Feliks B.  
po

Wydane z zaświadczaniem na bezpłatny przejazd koleją od st. Bydgoszcz do Wólki celem ewakuacji

ZARZĄD MIEJSKI w Walsztynie ADMINISTRATOR DOMÓW Rejon 7

Karta repatriacyjna rodziny autorki

kursowała, cały czas widzieliśmy wagony towarowe pełne szabrowników, mieszkańców przedwojennych przygranicznych miejscowości polskich wracających z Niemiec. U nich na dworcach można było za jedzenie wymienić jakieś brakujące w domu przedmioty lub ubranie.

Niektóre lepsze mieszkania władze lokalne zabezpieczyły i opieczętowały dla mających się tu zjawić przybyłych z Polski centralnej fachowców: kolejarzy, urzędników, specjalistów od wodociągów i gazowni. Te mieszkania opieczętowane miały kompletne wyposażenie, były tu eleganckie meble, naczynia, pościel, a nawet często pianino. Niemcy odchodząc, zabierali jedynie to, co unieśli w rękach. Myśmy, na polecenie ojca, zajęli przy dworcu pierwsze wolne mieszkanie, w którym zastaliśmy 2 szafy ubraniowe całkowicie puste, 2 stoły i 4 łóżka z pełnymi obrzydliwych pluskiew materacami, które trzeba było spalić. Ojciec zabronił nam przynoszenia mebli z głębi miasta, nie chciał, jak mówił, budować swojego życia na cudzej krzywdzie. Przynieśliśmy więc 4 krzesła pierwsze napotkane a więc każde inne i na tym koniec. Na moją prośbę pozwolono mi przynieść kilka świętych obrazów.

I tak rozpoczęliśmy nowe życie na nowym miejscu, w nowych warunkach, licząc na to, że wkrótce powiozą nas z powrotem. Wcale nie cieszyliśmy się z tej zmiany, wiadać było bowiem, że ludzie mieszkający tu przed nami podobnie jak my z bólem serca pozostawili tu dorobek całego swojego życia. Jedyna pociechę był fakt, że tu już byliśmy bezpieczni.

Nota o autorce: Stanisława Janicka (ur. 1 I 1938 Korzec), absolwentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – Instytut Filologii Romańskiej (1952), następnie zatrudniona w Sądzie Powiatowym i Państwowym Biurze Notarialnym w Wałczu (1952–1954), Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gorzowie (1954–1957), „Domu Książki” w Gorzowie (1957–1959), od roku 1959 do chwili obecnej związana z gorzowskim Archiwum Państwowym.